



Nr. 31.

Warszawa, dnia 19 (31) Lipca.

Rok 1875.

Podstuchana rozmowa.

Na placu Zielonym w ogródku w środku jego urządzonym, siedziała Mama z Walerkiem na ławce oczekując na Ojca.

W parę minut później z jednej strony wysunął się chodnikiem młody chłopiec z katarynką na plecach, a z drugiej jeszcze młodszy od niego z pekiem gazet trzymany pod pachą. Znali się widać dobrze, bo

— W pogodę to fraszka i w lecie, ale jak przyjdą słoty, zawieje i mróz do tego, to się człowiekowi życie przykrzy. Żeby to mnie przyszło tak chodzić z katarynką to byłbym dopiero szczęśliwy.

— Co ty gadasz, odrzekł kataryniarz, toć już pleców nie czuję od noszenia tego ciężaru. A kręć korbą, dudlij i dudlij, zachodź pod okna i na podwórza, i żeby to za każde zagranie coś wpadło do ręki ale gdzie tam, człek nieraz i na kawałek chleba przez dzień cały nie zarobi.

— Zawsze ja bym wołał być kataryniarzem jak roznosicielem.

— A ja nie, wołałbym chodzić z gazetami jak



Jak się masz Jasiu, cóżeś taki smutny? zapytał kataryniarz.

tuż przy Mamie i Walerku spotkawszy się przystanęli i nuż z sobą w gawędę.

— Jak się masz Jaśku, odezwał się kataryniarz, cóżeś taki smutny?

— Ej! mój bracie, odrzekł Jaś, z roznoszeniem gazet już mi się naprzykrzyło.

— Co ty gadasz, a toć to rzecz dobra. Tu złapiesz dychacza, tam piątkę, a nie nadźwigasz się, nie namęczysz.

z katarynką.

W tem nadbiegł pogwizdując terminator szewcki z kamaszkami w rękach, także znajomy rozmawiających, bo w podskokach choć bosi i bez czapki, zawołał zdaleka:

— Ach mój Wojtusiu, zagraj też na katarynce jakiego sztajera.

— Ej! daj mi pokój, odrzekł kataryniarz, nie granie mi teraz w głowie tylko bieda.

— Oj! to prawda! westchnął roznosiciel a terminator dodał:

— Nie gadajcie o biedzie bo już mnie najgorzej. Zawsze z temi chodakami mieć do roboty.

— I roznosić gazety nie ma nic przyjemnego.

— Już najgorzej z katarynką, bo to i ciężka i piszczy jedno w koło.

— To i u mnie zawsze jedno, dratwa, szydło, młotek i smoła, że aż dziwne rzeczy mi się dzieją.

— Mój kochany żeby ci przyszło gazetę roznosić, tobyś dopiero poznał biedę.

— Albo z katarynką chodzić, dołożył kataryniarz i westchnął smutnie.

— Ej mój kochany cały dzień siedzieć przy pracy, to aż się w głowie przewraca.

— Oj! ta praca, ta praca, odezwał się roznosiciel, żeby przepadła.

— Żeby ją wilyc zjedli, dołożył kataryniarz, i dalej wydziwiać na nią na wyścigi wszyscy trzej, życząc aby ją mróz zmroził, woda zabrała, słońce spaliło i jaki im tylko concept przyszedł do głowy. Nad tem narzekaniem zeszała dobra chwila czasu, mimo tego stali i rozprawiali, aż na szczęście zawołał terminator:

— Aj! będzie mi w domu dopiero jak wrócę, Majster zaraz powie żem mitrężył a tu tylko człowiek pociesza się w swojej biedzie.

— Aj! wykrzyknął roznosiciel, prenumeratorowie pewno poskarżą się w redakcyi, że się opóźniam w roznoszeniu, a to czyste skaranie.

— Oho! odezwał się kataryniarz, mój pan co mi zawsze daje dychę za granie, widzę że idzie z dziećmi do ogrodu, a bodajże cię!

I rzekłszy to podyrdał przez plac zmierzając ku owemu panu idącemu z dziećmi. Dwaj drudzy rozbiegli się znowu w swoje strony, co zobaczywszy Walerek rozśmiał się mówiąc:

— Ach! jacy oni zabawni!

— Nie moje dziecko, ciemni nie zabawni, bo nie rozumieją godności pracy i ważności swoich obowiązków. Każdy z nich prostak może i czytać nie umiejący, nie pojmując, że tylko praca pożyteczna jest prawdziwym skarbem człowieka, a zadowolenie ze spełnionych obowiązków szczęściem największem. Niech ci ta rozmowa podsłuchana nigdy nie wyjdzie z pamięci, bo i ty choć mały jesteś masz już swoje obowiązki.

— A jakie Mamó?

— Wypełniać chętnie wszystko to, co Rodzice twoi pragną żebys robił.

I.

Bajka, czy nie bajka?

Mówią, (czegoż to nie powiedzą ludzie)
 Że tu w Warszawie są dzieci niegrzeczne,
 Niechętne w pracy i leniwe w trudzie,
 Z starszemi krnąbrne a z rodzeństwem sprzeczne,
 Że znaleźć można gdy kto pilnie śledzi,
 Nawet i takie rozpuszczone dziatki,
 Które zbłądziwszy przykładem niedźwiedzi
 Mruczą, nie prosząc przebaczenia Matki.

Czyż wierzyć ludziom? Wszystko to być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Mówią że Lunia przy rannemwstawaniu,
 W niczem nie radzi sobie ani troszkę,
 I leżąc w łóżku woła: chodź tu nianiu
 Zapnij mi guzik, nadziei mi pończoszke,
 Przypnij tę śpiłkę, obuj ten trzewiczek,
 Daj szalik, pasek, włóż sukienkę nową,
 Przypasz fartuszek, zasznurowaj staniczek,
 Zawiąż podwiązkę — zrób to, przynieś owo...

Czyż wierzyć ludziom? Wszystko to być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Mówią że Dezio choć ma sporo latek,
 Nie chce zrozumieć że w obecnym czasie,
 Potrzebną praca, nauka i statek,
 A każdy próżniak zakała jest w klasie;
 Że chociaż dola jego nie bogata,
 Ojciec w wysiłku trudów zdrowie traci,
 On jednakowoż nie pamiętny na to,
 Przez krnąbrność swoją złem za dobre placi.

Czyż wierzyć ludziom? Wszystko to być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Mówią że Bonio chociaż ma zdolności,
 I pamięć dobrą, spryt do nauk wszelki,
 Dnie swe w nagannej marnuje płochości,
 Tracąc czas drogi na różne figielki;
 Miasto się zająć zadaną robotą,
 Do prac zbawicennych okazać chęć szczerą,
 Nad nową zawsze wciąż przemysła psotą,
 Tak że w cenzurze ma pałkę lub zero.

Czyż wierzyć ludziom? Wszystko to być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Mówią że Linka choć jest dużą panną,
 Bo jej już idzie lat drugi dziesiątek,
 Wciąż trwożliwością rządząc się naganną,
 Lubi przed gośćmi ukrywać się w kątek.
 Dla czego pytam od życzliwych stroni,
 Gdy jest przykładną, pilną w nauk trudzie,
 Gdy każdy dobrze tylko sądzi o niej.
 Dla czego? Nie wiem — lecz tak mówią ludzie.

Czyż wierzyć ludziom? Wszystko to być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Mówią że Witoś gdy podniesie krzyki,
 To prośbą, groźbą i przestrogą gardzi,
 Proszą, błagają by stłumił wrzask dziki,
 On miasto przestać drze się jeszcze bardziej;
 Choruje Mama, Tacie puchną uszy,
 Helenka cierpi straszliwy ból głowy.
 A ludzie mówią że każdego głuszy
 Krzykliwy Witoś swojemi narowy.

Czyż wierzyć ludziom? Wszystko to być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Mówią, bo ludzie różne mają zdania,
 Że ta bajeczka wyda się nieładną
 Tym, którzy wzięwszy ją do przeczytania,
 Siebie w podanych przykładach odgadną,
 Że wiele z dziełek pogniewa się za to,
 Widząc skarconą krnąbrność i swawolę,
 Że dąs i marsik będą mi zapłata,
 Bo prawda nawet dzieci w oczy kole.

Czy zasłużyłem na gniew Wasz? Być może,
 Jednakże ja to między bajki włożę.

Ludwik Niemiowski.

Co już dziś widziałam!

Maryniu, Zosiu, wstawajcie śpioszki, prędko się ubierzcie, pokończcie lekcye, abyście miały więcej czasu na robótki i zabawę. Marynia niech kończy kaftanik dla biednej Franusi, bo jej bardzo zimno a Zosia wełniane pończoszki dla Józki która ma nóżki poodziębiane; jakże one będą rade z tego, jak wdzięczne, co wam spodziewam się nie małą sprawi przyjemność.

Prócz tego i bawić się trzeba, wiecie jak lubię kiedy się bawicie wesoło i ochoczo, chętnie wam sama w tem dopomagam, lecz przedewszystkiem trzeba spełnić swoje obowiązki.

Zapytacie może: czyż w naszym wieku można mieć obowiązki? A jakże, każdy je ma drogie dzieci, a zaczynają się one bardzo wczesnie, bo jak tylko dziecię już dobrze wszystko pojmuje.

Pierwszym obowiązkiem jest słuchać woli starszych, to jest podstawą wszystkich następnych, bo dalej idą coraz liczniejsze i trudniejsze, coraz mozolniejsze roboty i nauki, których jednak nauczyć się trzeba: potem z wiekiem stają się obowiązki nie raz bardzo ciężkie, lecz kto w dzieciństwie nauczył się spełniać mniejsze punktualnie i bez napędzania, ten i w późniejszym wieku, godnie im odpowie.

A teraz chodźcie uczeszę was i powiem co już dzisiaj widziałam.

Wyszędłszy na ganek zobaczyłam długie sople lodu wiszące wszędzie, i porządne zimno owiało mnie na dzień dobry. Powiecie, że to wcale nie wesołe, to prawda, ale cóż robić, mieszkamy w kraju położonym więcej ku północy, a tem samem musimy się poddać ostrzejszemu zimom, a prztem jak miło pomysleć, że za chwilę wrócę do ciepłego pokoju. Zobaczyłam, że dziś w nocy upadło wiele śniegu i pomyślałam: jak Bóg dobry że daje te okrycie ziemi, bo wy wzięwszy śnieg w ręce, czujecie tylko jak jest zimny, a nie wiecie, że dla ziemi jest on osłoną od mrozu, bo gdyby nie było śniegu, wymarłoby żyto i pszeniczka, a wtedy byłaby bieda, bo z czegoby się piekły owe smaczne bułeczki, które tak lubicie, a nawet faworki i pączki, na które tak niecierpliwie rok cały czekacie.

Otóż śnieg jest jednym z licznych dobrodziejstw Boga, które co chwila w oczy nawet wpadają.

Ale czy wiecie co to jest śnieg i z kąd on się bierze? Mówiłam wam już kiedyś, że woda będąca na ziemi zawsze paruje, to jest w niedojrzanych okiem kropelkach unosi się w górę a tam łącząc się w większe krople w postaci deszczu lub rosy, wraca na powrót do ziemi. W zimie ponieważ powietrze jest oziębione u nas a tem bardziej w górze, gdzie jak wiecie zawsze jest zimniej, krople więc te zamarzają w powietrzu i spadają w formie białych gwiazdek na ziemię, a czasem w większy mróz, jak ostre kolce tną nas po twarzy.

Widziałam potem parę białych jak ten śnieg gołąbków, zwróconych do siebie, jakby sobie buzi na dzień dobry dawały. Rzuciłam im grochu, jadły zgodnie ustępując sobie nawzajem, poleciały potem do wody i znów razem usiadły tuląc się do siebie, jakby w tym uścisku bratnim szukały osłony przed zimnem. Ten widok nasunął mi myśl o was. Kochacie się dotąd bardzo i życie zgodnie, obyście zawsze z temi samemi pozostały uczuciami, bo o ileż ra-

dość czujemy żywiej jak ją możemy z ukochanemi podzielić, tak znów o ileż lżej, gdy się smutek lub troska powierzy sercu kochającemu, co ją serdecznie odczuje.

Potem widziałam ludzi idących do pracy. Często źle odziani a nieraz i głodni, dają ochoczo do swego zajęcia bo praca da im kawałek chleba, bułeczkę dla dzieci a może i trzewiczki dla nich; bo Ojciec i Matka, czy w dostatku czy ubodzy, zawsze najpierw pomyślą o dzieciach. Idą oni z pogodą i spokojem na twarzy, nie raz większym, jak ci co po dobrem śniadaniu, ciepłym obwinieci futrem, w wygodnej jadą karecie.

O! bo czyste sumienie i praca, to dwa najpiękniejsze warunki do szczęścia.

Idźcież i wy ukochane moje do pracy, uczcie się pilnie abyście wieczorem śmiało powiedzieć mogły, dobrześmy dziś czasu użyły, a ja mając znów wolną chwilę chętnie z wami pogawędzę i może co ciekawszego niż dziś opowiem.

Marynka Dudka.

Ojciec córeczkę swoją nazywał Marynką od najmłodszego wieku i tak ją wszyscy w domu nazywali. Marynka też bawiła się, śmiała, biegała, wyrastała na coraz większą dziewczynkę, ale gdy Mama chciała ją uczyć liter i sylabizowania, przystępowała zawsze do nauki z największą niechęcią, i zamiast patrzeć na książeczkę i słuchać dawanych jej objaśnień, jak się litery nazywają i składają w sylaby, ona z oczami jeździła po klatce z kanarkiem, po mu-chach latających po pokoju, lub nadsłuchiwała co mówią w drugim pokoju. Nauka też strasznie szła leniwo, nazwy liter przekręcała, na *a* powiedziała często że to *b*—na *b* że się *e* nazywa, a raz przy składaniu liter wyraz *buda* przeczytała *duda* i tak była nieuważną, że żadnym sposobem poprawić się nie umiała. Mama bardzo się o to pogniewała na swą córeczkę i powiedziała że jej nie kocha, a Marynka smutną zrobiła minkę, zaczęła silniej oddychać i łyżę w jej oczach pokazały.

— Są więc *dudki*, rzekła Mama, teraz wiem dla czego wyraz w książce przeczytałaś *duda*. Zapowiedziałaś nim *dudki* które teraz odgrywasz, warto by cię nazywać Marynką Dudką.

W tydzień później Marynka z Rodzicami była w ogrodzie i bawiła się z dziećmi w różne gry bardzo wesoło. Wtem przybliżył się znajomy Rodziców pan Józef, przywitał się ze wszystkimi, a gdy Marynka dygnęła przed nim grzecznie, podał jej rękę i rzekł:

— Jak się panienka miewa? Czy wesoło się panienka bawi?

— Kiedy ja nie panienka tylko Marynka, odrzekła dziewczynka, bo mnie tak wszyscy nazywają w domu.

— To nic nie szkodzi, zawsze Marynka jest panienką, odrzekł pan Józef.

— Proszę Mamy, wszak ja prawdę mówię?

Pan Józef zagadał się ze starszemi a Mama szepnęła córeczce:

— Czyś zapomniała że się nazywasz Marynką Dudką?

— Oeh! Mamo, niech będę tylko Marynką.

— O! będziesz nią i to podobno bardzo długo.

Dziewczynka zastanowiła się, i gdy powrócono do domu przybliżyła się do Mamy i zapytała:

— Dla czego ja proszę Mamy, mam być podobno bardzo długo Marynką?

— Marynkami, odrzekła Mama, nazywają wiejskie dziewczyny które nie się nie uczą i naturalnie nie umieją ani czytać ani pisać, a że ty także uczysz się niechętnie i nic nie umiesz, więc...

— Jestem Marynką, przerwała dziewczynka, oh! Mamo, nie wiedziałam. A jak nazywają Marynki co się uczą?

— Nazywają Maryniami, ale jeżeli pomimo tego lubią płakać, to zowią Maryniami Dudkami.

Marynka zasmucona usiadła w kąci i zaczęła rozmyślać: i długo tak rozmyślała a gdy Mama jej zapytała o czem myśli, odrzekła:

— Żeby przestać być Marynką Dudką.

— I cóżeś wymyśliła.

— Oto będę się uczyć przy Mamie uważnie i nie będę płakać.

w tym gorącym klimacie, zanieczyściłyby powietrze i wywołały przez to zaraźliwe choroby. Starożytni Egipcjanie dobrze wiedzieli o tem i dla tego tak wysoko cenili owego ptaka, nie zaś, jak dawniejsi pisarze mniemali, za wytopianie gadów; czynność tę i przysługę ludziom, spełniają w ciepłych krajach inne ptaki, zwłaszcza *Bociany*, a najwięcej *Sekretarze* i *Długwigady*, przez opiekuńczą naturę wyłącznie na tępiciele ich przeznaczone. O *Sekretarzach* i sposobie w jaki one walcą z jadowitemi nawet gadami, Przyjaciół podawał już szczegółową wiadomość.

Ibisy stanowią osobny rodzaj w Rzędzie Ptaków *Podkasatych* (*Grallae*), składający się przeszło z dwudziestu gatunków, rozmieszczonych we wszystkich gorących strefach. Wszędzie są one ptakami przelotnymi, trzymają się gromadnie nad słodkimi wodami, żyjąc muszlami, robactwem różnem i roślinami, płazów i węży bynajmniej nie pozerają. Gnieźdzą się na drzewach. Mięso wszystkich gatunków jest wyborne.

Ibis Czczony (*Ibis Religiosa*), ten właśnie co go



Ibis.

— Bardzo dobrze, a wiesz jak cię wtenczas będziemy nazywali?

— Nie wiem proszę Mamy.

— Marynią panienką, bo chcąc być prawdziwą panienką trzeba na to zasłużyć.

IBIS.

Ptak o długim bardzo i zakrzywionym dziobie, którego nam załączona rycinka przedstawia, jest ów sławny u Egipcjan *Ibis Czczony*, któremu cześć religijną oddawano niegdyś, i którego starannie zambalsamowane mumije do dziś dnia się przechowują. Przyczyną poszanowania tego był przelot tych ptaków w czasie wylewów Nilu. Wtedy ogromnemi stadami zjawiają się one i kiedy wody opadną, na swych długich nogach przebiegają pozostawiony przez wylew muł rzadki, użyźniający ziemię, i wylawiają z niego niezmiernie mnóstwo robactwa i drobnych mięczaków, które inaczej gnijąc szybko

na rycinie mamy przedstawionym, ma dziób bardzo długi, szczupły, nieco zakrzywiony, przy nasadzie nieco czworograniasty. Ubarwienie ciała jest białe, skóra naga na głowie i szyi koloru czarnego, końce lotek czarno zielone, pokrywy skrzydeł długie, strzępiaste, jedwabiste, czarno modre z połyskiem metalicznym purpurowym, pióra te okrywając ogon, na boki jak długie frendzle w dół zwieszzone spadają. Gatunek ten mieszka w Nubii, Egipcie i na Przylądku Dobrej Nadziei. Długość cali 29.

Drugi gatunek na uwagę zasługujący z powodu świetnego swego ubarwienia, jest *Ibis Ponsowy* (*Ibis rubra*), mający całe upierzenie pięknego ponsowego koloru w karmin wpadającego, dziób i nogi cieliste, końce lotek szafirowo czarne. Młode do lat trzech są szare i tylko po kilka piór czerwonych na skrzydłach miewają. Z wiekiem czerwoność coraz świetniejszą się staje. Ojczyzną tego pięknego ptaka jest Brazylja i południowe prowincje Stanów Zjednoczonych.

H. K.